

Historia kobiety, która walczy o przebaczenie  
i utraconą przed laty relację...

JUSTYNA STASIO-SIGA

# WYRODNA

LIRA  
WYDAWNICTWO

**WYRODNA**



JUSTYNA STASIO-SIGA

# WYRODNA

L  R A  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68577-69-3

*Pamięci mojego dziadka, Cezariusza Wawrzyniaka,  
którego historia rodzinna zainspirowała mnie  
do napisania tej książki*



# 1. NOWY KIEROWNIK

*SIERPIEŃ 1967*

Nazywam się Zenobia Wójcik. Wcześniej byłam Zenobią Majchrzak. A na samym początku Zenobią Łukomską. Zmieniłam się tak bardzo, że Zenobia Łukomska i Zenobia Majchrzak zdają mi się kimś bardzo odległym. Niemal obcym.

Najbardziej lubię siebie teraz. Nigdy nie byłam szczęśliwsza, a moje życie — bardziej bezpieczne i przewidywalne. Mamy z Marianem, moim mężem, domek przy Inflanckiej w Łodzi. Bliźniak. Z ogródkiem — maleńkim, ale zasadziłam tam jabłoni i krzew bzu przy drzwiach. I dużo kwiatów, tak żeby cały czas coś kwitło — tulipany i szafirki wiosną, potem peonie, róże całe lato, niektóre aż do jesieni. Lubię, żeby przed domem było kolorowo i pachniało. I lubię piec dla męża i syna. I do pracy, żeby było coś do kawy dla wszystkich.

Georg, nasz syn, jest drugi rok w wojsku. Dziwnie bez niego w domu. Codziennie wchodzę do jego pokoju przewietrzyć. Wszystko leży na swoim miejscu, jak w muzeum. Byliśmy na wczasach nad morzem, drugi rok bez niego. I pierwszy raz samochodem. Odłożyliśmy na Syrenkę. Marian dawno ma prawo jazdy, ale dopiero teraz udało nam się tyle zaoszczędzić.

Pracujemy oboje z Marianem w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex”.

On jest mechanikiem. Ja kierowniczką laboratorium włókienniczego.

Dobrze mi w tym prostym, małym życiu.

Jedziemy do fabryki pierwszy raz po urlopie. Założyłam sukienkę w kwiaty, jedną z kilku, które krawcowa uszyła mi na wyjazd. Moja skóra jest opalona na złoto. Wyglądam przez uchylone okno, a powiew chłodnego porannego powietrza owiewa mi twarz i sprawia, że czarne, pofalowane włosy sięgające za ucho tańczą na wietrze. Czuję się trochę tak, jakby wciąż były wakacje. Mijamy tramwaj, którym przez lata jeździliśmy do pracy. Nasze auto go wyprzedza, gdy tramwaj zatrzymuje się na przystanku.

— Ciekawe, jak tam Georg — zagaduję. — Dawno nie pisał.

— Pewnie dobrze. — Marian nerwowo zaciska dłonie na kierownicy i pochyla się mocno do przodu.

Nie odzywam się więcej, żeby go nie rozpraszać. Wkrótce przejeżdżamy przez bramę fabryki i zatrzymujemy się na parkingu. Udaję, że nie widzę, gdy mąż, wysiadając z auta, wyciera spocone dłonie o spodnie. Podchodzę do niego i całuję go krótko w usta.

— Musisz mnie nauczyć jeździć — mówię.

— Jak sam się nauczę. — Mąż macha ręką i podaje mi wyciągniętą z auta blachę ciasta przykrytą wykrochmaloną ściereczką. — Wpadnę na kawę — rzuca, odchodząc w stronę przędzalni.

Z blachą ciasta przed sobą idę w stronę budynku, w którym mieści się laboratorium.

— Pani Zeniu! — woła za mną dziewczęcy głos.

— Dzień dobry! — rozlega się drugi.

Odwracam się i czekam, aż podejdą do mnie Irka i Wacia, dwie młode kobiety, które ze mną pracują.

— Cześć, dziewczynki. — Uśmiecham się do nich.

— Śliczna sukienka, pani Zeniu — chwali Irka.

Irka ma w sobie dużo radości życia. Ciągłe się śmieje i nie może usiedzieć na miejscu. Ma duży apetyt na jedzenie, zabawę i mężczyzn. Nieraz poprawia makijaż i włosy, wychodzi z pokoju pod jakimś pretekstem i wraca pół godziny później z pomarszczoną spódnicą i rozognionymi policzkami. Ma męża i ośmioletniego synka.

Wacia, młodsza z nich, mężatką jest od niedawna. Jest taka dobra i naiwna — w moich oczach to jeszcze dziecko. Jej mąż, inżynier, jest jednym z kierowników zmian odpowiedzialnych za ciągłość produkcji. Oboje pochodzą z podłódzkiej wsi. Wacia uwielbia Łódź i wychwala życie w mieście, ceni je ponad to na wsi.

Podchodzimy do wejścia do naszego budynku, gdzie pod drzwiami pali papierosa Maryśka, trzecia z moich współpracownic. Ma chłopcę sylwetkę i nie nosi makijażu. Jest trochę po trzydziestce i nie ma męża ani z nikim się nie spotyka, lecz nigdy nie słyszałam, by na to narzekała.

— Co tam nad morzem, pani Zeniu? — pyta Wacia.

— Woda, piasek — żartuje Irka. — Lepiej my opowiedzmy, co się działo tutaj!

— Irka ma nowy obiekt westchnień. — Maryśka rzuca niedopałek na ziemię i gasi go butem.

— Przyjemnie, odpoczęliśmy — odpowiadam, uśmiechając się do Waci. — A tu? — przenoszę wzrok na Irkę.

— Na przedzalni pracuje nowy kierownik zmiany — odzywa się Irka. — Bardzo przystojny, ciemny, pachnący...

— Żonaty — dodaje z przekąsem Maryśka.

— I co to komu przeszkadza? — odgryza się jej Irka. — Pan Cezary. Ale wszyscy mówią mu Czarek...

Irka może opowiadać o nowo poznanym mężczyźnie godzinami, więc uprzedzam ją.

— Chodźcie do środka — poganiam je. — Już po siódmej.

Większość dni w laboratorium włókienniczym wygląda tak samo. Co godzinę któraś z nas idzie po próbki bawełnianej przędzy, czasem przynoszą ją nam mechanicy. Każdą nić musimy zamontować na specjalnym urządzeniu, dynamometrze włókienniczym. Mierzymy siłę potrzebną do zerwania pojedynczej nitki przędzy. Jeśli średniej grubości bawełniana nić wytrzyma do trzech czy nawet pięciu niutonów, oznacza to, że jest dobrej jakości i nadaje się do produkcji tkanin. Zapisujemy informację w raporcie. Jeśli nić zerwie się przy niewielkim naprężeniu, informujemy przedzalnię. Lecz to zdarza się rzadko. Co godzinę przez kilkadziesiąt minut nie mamy co robić. Stąd kawa i ciasto bez żadnej okazji, stos magazynów na parapecie, talia kart w szufladzie biurka, odbiornik radiowy.

Mój pierwszy dzień po urlopie mija leniwie. Mamy pootwierane okna i włączone radio. Za nami już pięć

partii próbek, które przeszły testy pomyślnie. Popijamy we czwórkę kawę i jemy przyniesione przeze mnie ciasto drożdżowe. Irka czyta nam z czasopisma horoskopy.

— Ustawienie Wenus wskazuje na to, że czeka cię burzliwy romans. — Irka kieruje czytane słowa do Maryški.

— Dajże spokój — irytuje się kobieta.

— Będziesz zaskoczona, z kim połączy cię los.

— Idę na przedziałnię. — Maryška wstaje i rusza do drzwi, ale Irka odkłada czasopismo i wyprzedza ją.

Zamykają się za nią drzwi.

— Do tego Czarka się przymilać poleciała! — mówi Wacia. — Ja nie wiem, jak ona tak może?!

Maryška temperuje ołówki.

— Pani myśli, że jej mąż o tym wie? — Wacia patrzy na mnie zatroskana. — Przecież Irka jest zamężna, a ten pan Cezary nosi obrączkę. Co ona zamierza?

— To nie nasza sprawa — kończę temat.

Po kilku minutach Irka wraca i kładzie próbki przede mną, sama zaś bierze na powrót czasopismo.

— Teraz kolej na horoskop pani Zeni.

— Niech będzie. — Nawlekam pierwszą próbkę.

— Za sprawą układu gwiazd spotkasz dawną bratnią duszę. — Irka uśmiecha się. — Otwórz się na to spotkanie. Masz szansę na prawdziwą miłość.

— Ciekawe, co na to pan Marian. — Wacia uśmiecha się do mnie.

Naciągnięta przedza pęka.

— Cholera! — denerwuję się.

Irka odkłada czasopismo. Wszystkie trzy patrzą na mnie, miny im zrzedły. Biorę kolejną próbkę i ponawiam test. Przędza zrywa się. Trzecia próbka też.

— Już nie jesteś chętna, żeby iść na przędzalnię? — Maryśka docina Irce.

Maryśka wychodzi. Ja zapisuję w raporcie godzinę i informację o niepowodzeniu. Każda minuta to są straty dla zakładu, duże pieniądze.

— Zrobicie mi kawę? — Marian pyta od drzwi.

— Nie teraz. — Odwracam się do niego. — Przędza się rwie przy jednym niutonie.

— Co ty mówisz? — Marian bierze sobie z blachy kawałek drożdżowego.

Z korytarza słychać zbliżające się głosy: Maryśki i męski. Widzę, jak mężczyzna przepuszcza Maryskę w drzwiach. To musi być ten Cezary, nowy kierownik zmiany.

— To jest pan Czarek, pani kierownik — przedstawia go Maryśka.

— Moja żona. — Marian prezentuje mnie, wskazując na mnie ręką.

— Miło mi. — Pan Czarek bierze moją dłoń i schyla się, by ją pocałować.

Jest świeżo po trzydziestce. Szczupły, wysportowana sylwetka. Czarne włosy zaczesane do tyłu. Orli nos. Wyprasowana koszula, pachnie perfumami. Widzę, jak Irka pożera go wzrokiem.

— Mnie również — odpowiadam i od razu przechodzę do rzeczy. — Wszystkie się porwały.

— Mogę spróbować?

Robię mu miejsce przy swoim biurku. Siada na moim krześle i zakłada przyniesiony kawałek przedzy na urządzenie. Patrzę na jego dłonie. Paznokcie ma obcięte tak krótko, jak tylko się da, czyste. Skórę dłoni — gładką i nawilżoną. Nie wyglądają na dłonie mechanika. Skądś go znam. Gdzieś już widziałam tę twarz i te dłonie. Z kimś mi się kojarzy.

Nić napręża się i pęka.

— Cholera — rzuca mężczyzna. — Chodźmy, panie Wójcik.

Wstaje od biurka, obrzucając niechętnym spojrzeniem nasze czasopisma, filiżanki po kawie i blachę z resztką ciasta. Idą z Marianem do drzwi. Patrzymy na siebie z mężem porozumiewawczo. Nie pracujemy tu od dziś. Oboje wiemy, że do domu wrócimy późno. Gdy wychodzą, zmniejsza się napięcie w pomieszczeniu.

— Co on taki nadyndany? — oburza się Maryśka. — Przecież to oni na przędzalni coś schrzanili, nie my!

— Każdy, jak zobaczy, jakie tu mamy Bahamy, to go szlak trafia — śmieje się Irka, dojadając ciasto. — Ładny, co?

Przytakuję jej skinieniem głowy.

— Czasem się zastanawiam, po co aż cztery tu jesteśmy — mówi Wacia. — Jak u siebie na wsi opowiadam, jak tu się pracuje, to koleżanki mi nie wierzą.

— Jesteśmy cztery, żeby bezrobocia nie było. — Maryśka zapala papierosa.

Siadam na krześle, na którym wcześniej siedział ten nowy kierownik zmiany. Wypijam ostatni łyk kawy z mojej filiżanki.

— Pani Zeniu, co pani tak posmutniała? — pyta Wacia.

— Nie, nie — zaprzeczam. — Zamyśliłam się. Zdaje mi się, jakbym gdzieś już widziała tego pana Czarka. Tylko nie wiem, gdzie.

— On wcześniej na tkalni robił, jako mechanik — podpowiada Maryśka. — To pewno nie raz gdzieś się pani z nim minęła.

— Zagadka wyjaśniona — odpowiadam.

Ale tak naprawdę wciąż mnie męczy, gdzie już widziałam tego mężczyznę. Dlaczego wydaje mi się znajomy?

## 2. OBRĄCZKA

### *SIERPIEŃ 1967*

Tak jak podejrzewałam, zostajemy w laboratorium dłużej. Dziewczyny biegają do przędzalni nie co godzinę, a co piętnaście minut. Jest przestój. Ludzie się denerwują. Są straty. Nie można znaleźć przyczyny. Nowe partie przędzy rwą się. Moje dziewczyny czegoś takiego jeszcze nie widziały.

Po dwudziestej przychodzi po mnie Marian.

— Kierownik mówi, żebyśmy szli i wy też, dziewczyny. Jest już nowa zmiana, a testy on potrafi robić. Wy jesteście potrzebne od rana.

Kiedy zajeżdżamy pod dom, jest już dawno po zachodzie słońca, ale nadal trochę jasno. Marian wysiada, żeby

otworzyć bramę. Nagle zza domu wyłania się męska sylwetka, a ja otwieram drzwi i krzyczę do Mariana:

— Za tobą!

Marian odwraca się i zamiast bronić się przed napastnikiem, pada mu w ramiona. To Georg. Moje przerażenie zmienia się w radość. Wsiadam z auta i podbiegam do niego. Zatapiam palce w jego jasnych włosach i całuję go mocno w oba policzki i w czoło. Czuję znajomą woń jego skóry zmieszaną z zapachem dymu podłych papierosów. Potem odsuwam się i patrzę w jego niebieskie oczy. Twarz ma mocno opaloną. Muszę patrzeć w górę, bo przerósł mnie o głowę. Wygląda jak Marian wtedy, gdy go poznałam.

— Nie pisałeś, że będziesz miał przepustkę — mówię.

— Nie wiedziałem, czy dostanę. — Syn wzrusza ramionami i idzie zamknąć bramę za ojcem, który wjechał na podjazd.

Wkrótce siedzimy przy stole, jedząc racuchy z jabłkami. Choć Georg to dorosły mężczyzna, jako matka nadal lubię patrzeć, jak je, pije, śpi. Zaspokaja podstawowe, podtrzymujące przy życiu potrzeby.

— Ostrzyżesz mnie jutro, mama? — pyta Georg i wypija ze szklanki łyk gorącej herbaty.

— Ostrzyżę, ale ładniej ci w takich — odpowiadam.

— Zenia, w wojsku nie chodzi o to, jak mu jest ładniej — strofuje mnie Marian.

— Oj, wiem przecież.

Kiedy Georg sięga po ostatni placuszek, wstaję od stołu:

— Dorobię ciasta. — I zwracam się do męża: — Zerwij jeszcze parę jabłek.

— Wystarczy. — Georg mówi z pełnymi ustami.

Zbieram puste talerze i sztucce, po czym odkładam je do zlewu. Chcę zacząć zmywać.

— Siadaj, mama, muszę wam coś powiedzieć.

Wracam na swoje miejsce przy stole, przestraszona, że coś mu jest. Wyobrażam sobie, że mieli w wojsku badania i coś mu wykryli: wadę serca, raka.

— Chcę się ożenić! — Georg rozpromienia się.

Mój strach o syna przeradza się w zdziwienie.

— Poznałeś dziewczynę? — wypalam.

Marian z Georgiem wybuchają śmiechem. Czuję w sercu ukłucie zazdrości, że nasz syn jest bliżej z ojcem niż ze mną. Marian zawsze wiedział więcej o Georgu, lepiej rozumiał nasze dziecko. Nie potrafię cieszyć się tym, jak dobrym jest ojcem, skupiam się na tym, że czuję się nieudolna w roli matki.

— Co was tak śmiesz? — pytam, siłąc się na lekki ton.

— Bo ty też ją znasz — odpowiada Marian.

Moja konsternacja jest jeszcze większa, co sprawia, że mąż z synem znów parszczą śmiechem.

— Ilonce się oświadczę — mówi syn.

Ilonka to nasza sąsiadka przez ścianę z drugiego bliźniaka. Znają się z Georgiem od zawsze. Jako dzieci bawili się razem, a jako nastolatki przestali spędzać wspólnie czas. Nie domyśliłabym się, że syn się w niej zakochał.

— Chcesz się ożenić z Ilonką? — dopytuję, choć przecież w jego stwierdzeniu nie było niczego niejasnego.

— Przestań, mama, bo umrę ze śmiechu! — Georg znów wybucha salwą śmiechu, a mąż mu wtóruje.

Zakładam u Georga w pokoju świeże poszwy na pościel. Rozkładam na łóżku wykrochmalone prześcieradło.

— Mama, ty mi mówiłaś, że mogę wziąć twój pierścionek.

Georg stoi za mną. Prosto z kąpieli, w samej bieliznie.

— Oczywiście, nie wiem tylko, czy się Ilonce spodoba — odpowiadam. — Zaraz ci przyniosę.

Chwilę później wracam z porcelanowym puzderkiem, w którym trzymam biżuterię. Lata temu, gdy byłam Zenobią Majchrzak, dostałam je od szwagierki podczas wspólnego wypoczynku w Busku-Zdroju. Jest okrągłe, z granatową obwódką. Pośrodku z bujnej zieleni wyłania się budynek zakładu zdrojowego, przed którym stoją ławeczki i tryskająca wodą fontanna.

— Tu go mam. — Otwieram metalowe zapięcie.

Siadamy z Georgiem na łóżku i zaglądamy do środka. Zanurzam palce w płątaniu srebrnych łańcuszków. Wyciągam medalik, złote kolczyki z koralami, które założyłam w dniu ślubu z Marianem, guzik od płaszcza, którego już nie mam, i w końcu mój pierścionek zaręczynowy. Złoty z niewielkim rubinem i okalającymi go diamentami.

— Proszę. — Podaję go synowi.

Na jego dużej dłoni pierścionek wydaje się bardzo mały. Georg z trudem zakłada go sobie na mały palec i przygląda się, jak kamienie błyszczą w świetle żarówki.

— Dziękuję. — Georg całuje mnie w policzek. — Ciekawe, czy będzie na nią dobry.

— Najwyżej pójdziecie do jubilera dopasować rozmiar.

— Gorzej, jakby się u jubilera okazało, że to tylko kolorowe szkielek — żartuje Georg.

— Ojca spytaj, gdzie kupił. — Uśmiecham się. — Synku, a jak to się stało, że zakochałeś się w Ilonce? Jak byłeś w domu, to nie widziałam, żebyś z nią spędzał czas...

— Jak wysłałem do ciebie życzenia na Dzień Kobiet, to posłałem też kartki do Ilonki i jej mamy. Ilonka mi odpisała. Na kilka stron. I tak pisaliśmy do siebie o wszystkim. I już sobie bez tych jej listów życia nie wyobrażam... — Georg urywa, zawstydzony swoją otwartością.

Siedzimy chwilę w milczeniu. Czekam, że może podzieli się ze mną czymś jeszcze. Georg przegląda zawartość pudełka.

— Dlaczego tego nie nosisz? — Spogląda na mnie.

— To rzeczy na specjalne okazje, a nie ma ich zbyt wiele — odpowiadam.

— A to co? — Syn wyciąga z pojemniczka złotą obrączkę.

Zerka na moją prawą dłoń, żeby sprawdzić, czy mam założoną swoją. Jest na miejscu. Nie zdejmuję jej od dnia ślubu z Marianem. Widzę na twarzy syna, jak dochodzi do niego, że to z mojego pierwszego małżeństwa.

— Dasz mi dla Ilonki? — pyta. — Nie będzie trzeba kupować.

— Wszystko w swoim czasie — odpowiadam wymijająco. — Jeszcze nie poprosiłeś jej o rękę.

Georg obraca w palcach złoty krążek. Patrzy na wygrawerowaną od wewnątrz datę ślubu: 17 IV 1932.

— Nie chcesz mi jej dać? — Patrzy na mnie, a ja uciekam spojrzeniem.

— Jeszcze wam przyniesie nieszczęście.

— Mamo, to tylko kawałek metalu — irytuje się na mnie Georg.

— Dam ci pieniądze na nowe obrączki. — Wstaję, nie chcąc kontynuować tej rozmowy.

Georg ustępuje. Wrzuca moją starą obrączkę do pudermana, a ja odnoszę je do kredensu, gdzie stoi wraz z nieużywanym serwisem do kawy ze złotym brzeźkiem.

Przed snem, już w koszuli nocnej, postanawiam jeszcze zajrzeć do syna. Sprawdzić, czy jest na mnie zły. Uchyłam drzwi. Georg usnął przy świetle. Na kołdrze leży mój zaręczynowy pierścionek, który oglądał, nim zasnął. Przez dłuższą chwilę przyglądam się, jak podnosi się i opada klatka piersiowa mojego dziecka. Głaszczę jego jasne, pofalowane włosy.

W nocy nie mogę zasnąć. Mam natłok myśli. Gadania moich laborantek miesza się ze słowami Georga, że chce się ożenić. Kiedy zaczynam zasypiać, widzę zadbane dłonie nowego kierownika zmiany bawiące się obrączką, której nie zgodziłam się dać synowi. Budzę się w środku nocy i nie mogę już spać. Pierwszy raz od dawna mój spokój został zaburzony — myślę o moim pierwszym małżeństwie. O tym, jak zaczęło się moje dorosłe życie, które doprowadziło mnie do momentu, w którym jestem teraz.